

JÓZEF LASOŃ.

ŚLADAMI OJCÓW.

(Z cyklu: LEGIONY).

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

Wojsko...

Jak olbrzymi wąż, boa dusiciel, pełza, zwija się kolumna siwych mundurów, czołga się pod nieprzyjaciela, aby się w długą linię rozrzuć, znieńacka podsunąć pod kryjówki wroga, zniszczyć, wypędzić, z nor-okopów wyrzucić.

Marsz na pozycję...

Milkną śmiechy, rozmowy, prostują się pod ciężarem plecaków barki żołnierskie, ucicha piosnka-przyjaciela, co to siły siabnące, nogi mdlejące do żwawego, równego kroku wzmacnia, a ciało i ducha pokrzepia, ręka silniej karabin chwyta, powaga i zadowolenie bije z twarzy żołnierskich.

„Patrz na tego manlichera,
On tak strzyło, jak cholera i t. d.“

Ala papieros podany łagodzi spór o muzyce i pieśni, zaczyna się pogawędka, syją się pytania, na które nie masz odpowiedzi.

— Obywatelu! nie wicie, gdzie idziemy? He, jak myślicie dostane jaki list z domu? He, nie wicie, czy jobym urlopu nie dostał, bo wicie, juści tyle i tyle miesięcy na wojnie jestem. to mi się należy... He, prawda, że mi się należy? Ciekawym, co mi matka powie? Obywatelu, wicie, co to za uciecha będzie. Oni nawet nie wiedzą, gdzie jestem. A nie wicie, którą trza będzie jechać?

Ukaże się gdzieś zdala wioszczyna jaka, lub miasteczko, już ci szepty w maszerującej kolumnie słyszać:

— Obywatelu, prawda, że tu będzie kwatera? Ja będę z wami na kwaterze, ten z tym lub owym i już targi, konszachty. Zwichrzone włosy na gwałt łapą żołnierską przyglądają, żeby przygotować do szczerzenia, usta do uśmiechu. Ręka obojętnie przytrzymuje ramię od karabinu, palce skupiają się do posłania całusa ładnej dziewczynie, stojącej na drodze.

„Piechury — szczury“...

Zajdzie wszędzie, nie potrzebuje się troszczyć o konia, dźwigać armaty na góry, lub z błota wyciągać, jest sobie zawsze swobodny, pierwszy wszędzie idzie i wszystko może robić...

I dziesięciu mowców na żart nie zdołają go przekonać, bo to, co „piechur — to piechur!“

„Ułany — pany“...

Poniatowskiego czako, z dużym blaszanym orłem w pośrodku, z kitajką końskiego włóśnienia, zatknietą z boku czaka, z blaszanym podbródkim-łuską, podtrzymującą czako podczas boju; siwa bluza z czerwonymi rabatami wygląda z pod kurtki zarzuconej na plecy, jakby strój baletmistrza. Karabin na plecach, długie, obrzydliwe szablisko przy boku, na które kiedyś patrzeć będą, jak my na miecze średniowieczne i kopie. Stuka ci ono, gdy ułan z konia zeskoczy, wspólnie z ostrogami duet tworząc, wlecze się za ułanem, jak wierny pies za panem i nic dziwnego, że ułan tęskni za nim, bez niego nieswojsko mu jakoś. No i konik. S wy, kary, jakikolwiek, wszystko jedno, byle dobry był, z wichrami w zawody szedł, gdy kule świszczą nie-wzdrygał się, co mu dają, jadł, nie słabował, a gdy rauny ułan z niego się potoczy, przy nim stał i przy skonie drżał.



Obóz Legionistów w lesie na wschodnim terenie.

A potem znowu marsz na odpoczynek.

Śmiechy, wesołość, dowcipy na ustach usiadły, plecaka nie czujesz na grzbiecie, trąbka gra ochotczo, komendant krzyknie wesoło:

— Cułopcy, zaśpiewać, śpiewać.

O! tego dwa razy nie trzeba nikomu mówić.

Wydrze się początkowo pieśń z gardła, jak po-bożnej kompanijce, zdążającej na Kalwaryę, każdy zacznie od innego słowa i innej melodyi, ale w końcu poprawią się i choć może nie artystycznie, chórowo, ale zato z ochotą, werwą, z wydzieraniem pojedynczych głosów, zlewają się głosy silne, dobitne.

Że tam czołowa część kolumny kończy ostatnią zwrotkę, a tył zaczyna dopiero środkową, zdala ciągnący tren początek, to nic nie szkodzi, ba, spróbuj im powiedzieć, że to jest źle śpiewane, nierówno, z fałszywą melodią, oburzą się i usłyszysz kazanie, jakiegoś pewnie nie słyszał jeszcze nigdy w życiu.

— Co, nie dobrze? A to sie znosz obywatelu, na śpiewie, jak kura na pieprzu. Chyba nikt głośniej od nas nie potrafi śpiewać, a zresztą zatkaj se obywatel uszy bandażem.

No i już obraza na parę minut. Niby się gniewa na ciebie, lecz równocześnie usiłuje poprawić śpiew, wskazówki podane zastosować i wiele sił mu w pierśniach starczy, drze się:

Lezie ci to ciągle, jakby duch pokutnik, dźwiga na sobie nieruchomości i ruchomości swoje, które mu dopiero na cieplej kwaterze wylażą na wierzch surduta, jak mrówki z rozkopanego przypadkiem mrowiska, śpiewa ciągle, nudzi cię ustawicznymi swojemi pytaniami i opowiadaniem, nie spocznie na chwilę, chyba gdy go osa kula ukąsi. Dołę i niedołą żołnierską z zadowoleniem znosi, nie rozmyśla, kiedy się wojna skończy, tylko wciąż rozprawia, czy dużo Moskali w ostatniej bitwie lub potyczce zniszczono.

Jest kwatera — to dobrze, niema, to też dobrze. Jak ślimak ze skorupy, tak on z plecaka robi sobie kwaterę. Wyciągnie, odczepi koc, położy na ziemi, plecak w poduszkę przemieni, płaszc w kołdrę i śpi. Że tam deszcz lub biały śnieżek trochę popada, nic nie szkodzi, cieplej będzie. Karabin, jak kochankę przytuli do siebie, na „dobranoc“ jeśli potrzeba nabije, a zasypiając pragnie, aby mu się coś dobrego śniło. Że przyjechał do domu, albo też, że list dostał... Żeby służbę zaspiał, tego się nie obawia, już go, jak tego będzie potrzeba, głos trąbki, jak głos matki ze snu zbudzi, więc martwić się niema potrzeby...

W rozmowie chwalić będzie i konnicę, artylerję i karabiny maszynowe, nawet i „lapiduchów“, ale przedewszystkiem piechota, to grunt.

— Wicie obywatelu, co piechur to piechur!

Jadą ulani...

Groźnie wyciągnięte, błyszczące ostrza szabli, husaryja polska pędzi, ziemia pod kopytami końskimi drży, z paszcz końskich bucha para, piana się toczy. Już wzniesione do góry szablce, już padła komenda zapowiadająca szarżę, kolana ścisnęły konia, kolce żelaza wbiły się w boki aż do krwi... Jak huragan wpadły szabliska na głowy zaskoczonego niespodzianie nieprzyjaciela, zamieszanie, popłoch, śmierć przyniosły i z takim samym impetem znikły lub poszły w dalszy pościg za nieprzyjacielem.

I wracają potem krwią, błotem, kurzawą pokryci, wracają z dumą dobrze wykonanego rozkazu, albo też na zdobytej pozycji pozostają martwi... w sławie.

Ułani polscy...

Gonia za nimi niebieskie czy czarne oczeta dziewcząt, ślą im figlarno-zabójcze spojrzenia, serce by w słodki jasyr wziąć chciała, usta się jak przy pocałunku miłośnie układają, ale cóż, nie czas na tańce i romanse...

Niema może lepszych kupców w zachwalaniu swoich towarów, jak się zejdzie ułan z piechurkiem na kwaterze i z nudów rozpoczną długą dyskusję. Wyliczają cnoty swych mundurów — nieskończona nigdy litania zalet, pożyteczności, wyglądu, jakgdyby